

Z pociągu do Częstochowy

Mówi, że aktorką została z lenistwa. Zanim trafiła do częstochowskiego teatru, pociągami zjechała całą Polskę. Trudno uwierzyć, że gra tu już od 20 lat.

Swój jubileusz świętuje śpiewająco, zapraszając na dzisiejszy koncert. Iwona Chołuj opowiada o rolach, marzeniach i o tym, dlaczego nie mogłaby być księgową.

ZUZANNA SULIGA: 20 lat to szmat czasu. Czy Iwona Chołuj mogłaby być dziś nieaktorką?

IWONA CHOŁUJ: Przy okazji premiery „Procy” Ewa Oleś [sekretarz literacki teatru] robiła nam test Bernarda Pivote’a. Pytała o to, jakiego zawodu nie mogłabym wykonywać. Wiem, że na pewno księgowej. W moim wyobrażeniu księgowka musi cały czas być skupiona, ja się do tego nie nadaję. Przepraszam wszystkie księgowe, bo to praca trudna - ale i monotonna. Może dlatego tak dobrze zarabiają, czego mogę im tylko zazdrościć. Mogłabym być za to osobą, która jeździ do luksusowych hoteli i sprawdza ich standard. Taka praca z ludźmi, sprawdzanie, czy łóżka wygodne, czy basen czysty, ręczniki miękkie, drinki dobre... Myślę, że sprawdziłabym się w tej roli.

To dlaczego aktorstwo, a nie „hotele”?

- Pewnie nie będę innowatorką, jeśli powiem, że poniekąd z nieśmiałości. Większość aktorów, których znam, mówi, że w młodości byli bardzo nieśmiali. Jednak najważniejszym powodem było lenistwo. To będzie długa opowieść...

Zacznę ją od czasów, gdy języki obce nie były poważane, uczyło się ich z obowiązku, ale bez wiary, że się kiedyś przydadzą. Ja uczyłam się rosyjskiego. Pisać cyrylicą umiałam już w przedszkolu. Wtedy też nauczyłam się czytać po polsku i rosyjsku. I jak poszłam do szkoły, to już właściwie wszystko umiałam. I nie przykładałam się za bardzo. Przyspieszając tempo opowieści do czasów licealnych, to wciąż uczyłam się języka rosyjskiego, ale nadal tak mocno leniwie. Z mową jakoś sobie radziłam, do polskich słów dodawałam zaśpiew, ale na sprawdzianach to nie pomagało. Były to czasy, gdy szkoły chętnie wysyłały uczniów na przeróżne konkursy, więc żeby mojej pani od rosyjskiego zrobiło się lżej na duszy, powiedziałam, że nauczę się wierszyka i pójdę na konkurs recytatorski. Nie wygrałam, ale zauważył mnie tam Roman Krzywotulski, który był wtedy dyrektorem Żarskiego Domu Kul-

tury. Uznał, że mam ogromny talent, i zmusił mojego kolegę, żeby przeprowadził mnie na zajęcia. W ogóle mi się tam nie podobało, choć ludzie byli wspaniali. Bardziej interesowały mnie zajęcia zespołów muzycznych niż kółka recytatorskiego. Aż do konkursu prozy i poezji Czesława Miłosza w Białymstoku. Jechaliśmy tam przez całą Polskę. A gdy dojechaliśmy, okazało się, że moje zgłoszenie zginęło. Pan Romek poprosił organizatorów, żeby mnie wzięli pod uwagę, skoro przejechałam taki szmat drogi. Wygrałam. To był taki jeden strzał, bo potem mi te recytacje już nie wychodziły.

Przyszła koniec liceum. Wszyscy najbliżsi przyjaciele idą do łódzkiej Filmówki, a ja totalnie nie wiem, co ze sobą zrobić. Nawet poszłam do jakiegoś psychologa, który zrobił mi testy umiejętności, z których wynikało, że absolutnie nie nadaję się do żadnych technicznych spraw, tylko humanistycznych. Ale to mi wcale nie pomogło. Stwierdziłam więc, że też pójdę do Filmówki. Dotarłam nawet do trzeciego etapu i poległam. Przyjaciele szli do Zielonej Góry na tzw. PKO, czyli pedagogikę kulturalno-oświatową. Ja za nimi, wybrałam fakultet teatralny. Ale teatru tam było mało, za to mieliśmy historię filozofii, logikę. Naprawdę chodziłam na te zajęcia, ale wtedy równocześnie wchodziłam w świat kabaretowo-artystyczny. Jako Kabaret Małe Potemmy występowałyśmy w klubie Gęba, a z chórem studenckim i „Requiem” Mozarta jeździliśmy po Europie.

Stwierdziłam, że na studiach się nudzę. Po dwóch latach w Zielonej Górze pojechałam do Gdyni, do Policealnego Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej.

Czyli postanowiła pani zjechać całą Polskę?

- Był taki moment, gdy byłam na czwartym roku studiów w Gdyni, że w Żarach bardzo chorowała moja mama, którą odwiedzałam, w Bielsku-Białej miałam narzeczonego, a w Radomiu mieliśmy robić dyplom. Mało tego - już wtedy pojawiła się Częstochowa i tam też kursowałam. Budziłam się w pociągach i zastanawiałam się, gdzie jestem - na wschodzie, na zachodnie, północy czy południu Polski. Do tej pory mam spory problem, żeby wsiąść do pociągu.

Wróćmy do Gdyni. Tam grała pani m.in. w spektaklach Jerzego Stuhra, Jerzego Gruzycy...

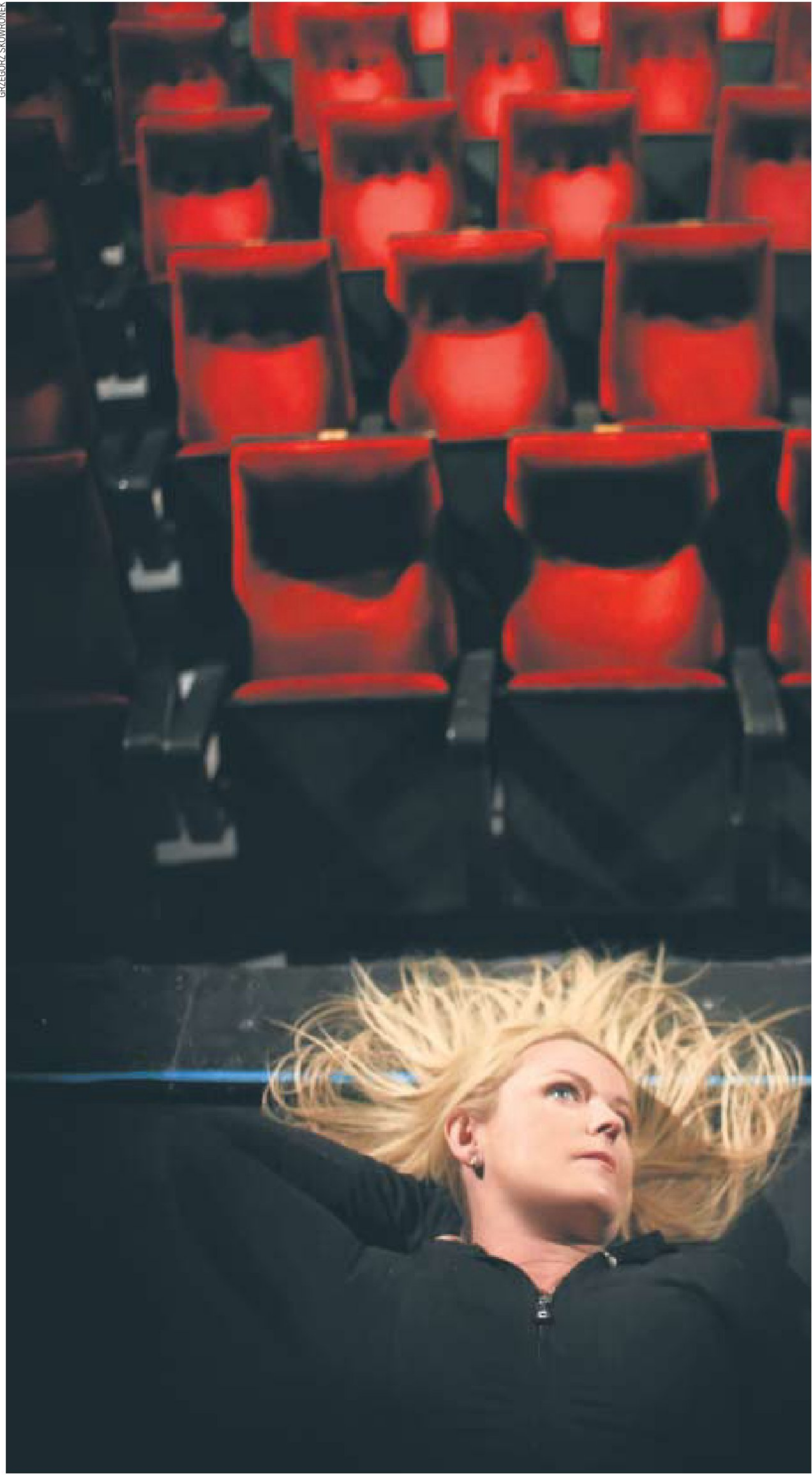
- W tej szkole od drugiego roku studenci mają obowiązek grania w wielkich musicalach. Dzięki temu grałam w „Skrzypku na dachu” czy „Nędznikach”. Od początku obcuje się z całym teatrem. Uczy się hierarchii i szacunku do zawodu.

A teraz pewnie padnie słynne pytanie, „skąd się wzięłam w Częstochowie”. Ostatnio wszyscy mi je zadają.

Mogę zapytać inaczej: czy na trasie z Gdyni nie było innych miast?

- Los postawił na mojej drodze Henryka Talara, który był dyrektorem częstochowskiego teatru i mnie

GRZEGORZ SKOWRONEK





Iwona Choluż

Rocznik 1971. Urodziny obchodziła 8 marca. Pochodzi z Żar. Jest absolwentką Państwowego Policealnego Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni.

Współpracuje z warszawskimi teatrami: Syrena i Projekt Warszawa. Z częstochowskim Teatrem im. Mickiewicza związana od 1996 r. Aktorka została nominowana do Złotej Maski za rolę Basi w monodramie „Pamiętnik narkomanki” według Barbary Rosiek i za Katię w spektaklu „Walentynki” Iwana Wyrpajewa.

Częstochowska publiczność zna ją z ról w takich spektaklach jak „Proca”, „Napisz do mnie”, „Wilki”, „Do dna”, „Polowanie na losia” czy „Ballady morderców”. Telewizowie kojarzą ją zaś z ról w takich serialach jak „Na Wspólnej”, „Na dobre i na złe” czy „Galeria”. Zagrała również w filmie „Darmozjad polski” Łukasza Wylężalka.

- To efekt współpracy z Arkiem Głogowskim. Pomysł był jego, a ja się do tego projektu mocno zapaliłam. Dyrektorem teatru był wówczas Marek Perepeczko, który utworzył „scenę inicjatyw”. Każdy mógł zgłosić swoje propozycje. Już sam tytuł go przeraził. Powiedzieliśmy: „Panie dyrektorze, my pana zabierzemy do Wrocławia, gdzie grają ten spektakl”. Zgodził się. Wsadził nas do tej swojej słynnej czerwonej hondy. Sam był postawnym człowiekiem, Arek jest bardzo wysoki, więc z tyłu nie było dla mnie w ogóle miejsca. Tak pół siedziałam, pół leżałam z nogami na szybie. Ale dojechaliśmy do Wrocławia. Wchodzimy do teatru i okazuje się, że spektakl odwołano z powodu choroby aktorki. Mimo to dyrektor się zgodził, tak nieco w ciemno. Powstał



Nie byłabym księgową – bo to zawód wymagający skupienia. Mogłabym być za to osobą, która jeździ do luksusowych hoteli i sprawdza ich standard

zatrudnił. Skrząc dystans opowieści, mogę powiedzieć, że wzięłam się z pociągu z Radomia. Miałam tam robić dyplom, ale dostałam angaż w Częstochowie i tu go zrobiłam. Pierwszy raz wysiadłam na Stradomiu. Przeraziłam się, gdy pociąg stanął, mówią, że koniec podróży, a ja się pytam ludzi, gdzie ta Częstochowa. Oni mówią, że przecież jestem w Częstochowie. A ja myślałam, że to jakiś koniec świata, dziś dworzec wygląda zupełnie inaczej. W końcu jakoś przebiłam się do centrum. Pamiętam, że do teatru szłam od strony ul. Kilińskiego. Zachwyciłam się tym gmachem. Miałam ciary, ale takie pozytywne, jak to przed krokiem w nieznaną.

Teraz, po niemal 20 latach, znów spotkaliście się z Henrykiem Talarą na jednej scenie. Gracie razem w spektaklu „W starych dekoracjach”. Jak wspomina pani całą waszą współpracę?

- Zawsze dobrze. Henryk Talar stawał mi ciekawe wyzwania. Nie każdy młody aktor może od razu dostać monodram, rolę Antygony albo możliwość zagrania z Emilią Krakowską. Niektórzy muszą nosić tzw. halabardy, pół roku, rok, a nawet dłużej. Ja nigdy nie stałam z halabardą. Henryk Talar stał przede mną wysokie złote schody, żebym miała po czym się wspinać. Po latach bardzo przyjemnie było zagrać razem. Teraz „W starych dekoracjach” gości w Warszawie, nagraliśmy sluchowisko dla Polskiego Radia, wkrótce pokażemy spektakl w Sopocie.

Pamięta pani swój debiut na częstochowskiej scenie?

- Były to „Usta przewrotne” z Emilią Krakowską w roli głównej. Agata Ochota-Hutyra musiała zrezygnować z roli, a trzeba było zagrać kilka zakontraktowanych już spektakli. Musiałam bardzo szybko wejść w rolę. I zostałam mocno przemuszowana przez panią Emilię. Teraz, jak się widzimy na „szlaku”, podchodzę do niej i mówię: „Pani Emilio, pani mnie pewnie nie pamięta?”. A ona: „Taaa nie pamiętam...” i wymienia elementy z mojego życia sprzed lat.

Obok roli w „Ustach przewrotnych” czy „Antygonie” grała też pani w spektaklach dla najmłodszych widzów. Była nawet Prosiaczkiem z „Kubusia Puchatka”.

- Ten spektakl realizował zawodowy lalkarz, a ja nie miałam pojęcia, jak obsługiwać lalkę. Nikt mi nie powiedział, co robić, więc grałam i sobą, i Prosiaczkiem. Nie wiem, czy to dobrze, bo może powinien grać tylko Prosiaczek, a ja tylko dać mu głos?

Ostatnio, tak przypadkowo, gdzieś w internecie zobaczyłam spis moich wszystkich ról. Pomyślałam sobie: „Ludzie tyle nie żyją”. Ale jak uświadomiłam sobie, że to przecież 20 lat, okazało się, że jest to możliwe.

Ma pani na koncie współpracę z Adamem Hanuszkiewiczem, Krystyną Jandą, Ignacym Gogolewskim... A w 2002 r. nawet reżyserki debiut, czyli „Ballady morderców”.

spektakl, który bardzo ukochaliśmy, ale dosyć szybko zszedł z afisza. Chętnie wróciłabym do Nicka Cave’a.

A do jakiej roli jeszcze?

- Uwielbiałam grać w „Antygonie” według Kajzara w reżyserii Tadeusza Kiljańskiego. Z kosmiczną scenografią, kostiumami jak z „Matrixa”, choć wtedy nikt nie wiedział jeszcze o tym filmie [premiera „Antygony” odbyła się w 1997 r., „Matrixa” - w 1999 r.]. To był niesamowity spektakl, w którym śpiewałam piosenki O.N.A. „Antygonę” zagrałiśmy tylko kilkanaście razy. To straszne uczucie, gdy aktor nie może się wygrać, po nocach śniło mi się, że gram. Młodzież jak na koncercie wstawała, klaskała, potem przychodzili do nas i mówili, że od tej pory będą chodzili nie do kina, a do teatru. Wiem, że jak aktor napracuje się nad rolą, to musi ją zagrać co najmniej 50 razy, żeby to poczuć, żeby się tym nawet znudzić.

To dla odmiany zapytam o spektakl, w którym zagrała pani najwięcej razy.

- Myślę, że monodram „Pamiętnik narkomanki”. Miałam go, za przeproszeniem, po kokardy. Czasem grałam go i trzy razy dziennie. Za każdym razem musiałam skupić na sobie uwagę paruset osób. Ten niezwykle trudny tekst kosztował mnie bardzo dużo. Mało tego - choć może wydawać się to śmieszne, gdy co chwila powtarzasz w pierwszej osobie, do upadłego: „Jestem chora, bolą mnie kości, mam brzydką cerę” - zaczyna się to dziać! Nie chciałabym już wrócić do tych emocji. Za to chętnie wróciłabym do współpracy z Gabrysiem Gietzkym. Ostatnio mało się o nim u nas mówi, ale kiedyś był w teatrze jednym z ulubionych reżyserów. Bardzo chętnie wróciłabym do któregoś z jego spektakli. I jest taka szansa, bo według zapowiedzi do repertuaru powróci „Być jak Kazimierz Deyna”.

Niemniej na brak zajęć nie może pani narzekać. Ten sezon i miniony przyniosły pani role w spektaklach „Życie: trzy wersje”, „Trener życia”, „W starych dekoracjach” i „Procy”.

- Nigdy nie narzekam. Czasem nawet chodzę do dyrektora i proszę, żeby mi odpuścił na jakieś dwa miesiące, bo muszę zająć się trochę sobą. Pójść na basen, na angielski... Gdy trwamy w intensywnych próbach, poświęcamy temu niemal cały dzień. Mam wtedy czas na zjedzenie obiadu, wyjście z psem, a wiadomo, pies ważna sprawa [mowa o 10-letniej suczce Gai]. Teraz mam trochę oddechu. Chodzę na aquaerobik, tańce, bardzo to lubię.

A do tego występuje pani z zespołem AmperA, Częstochowskim Teatrem Tańca, Teatrem from Poland...

- Z Włodkiem Kućą i jego Częstochowskim Teatrem Tańca pracujemy właśnie nad nowym projektem. Tym razem dedykowanym okresowi międzywojennemu, wypełnionemu m.in. piosenkami Mieczysława Fogga. Mimo że wydaje się, że tyle się u mnie dzieje, to zawsze potrafię wykrzesać jeszcze trochę czasu. Może mogłabym zostać logistyką?

Sporej logistyki wymaga pewnie też dzisiejszy koncert, którym uczci pani swój jubileusz?

- Na scenie wystąpi 16 osób. Marta Honzatko, Gosia Marciniak, Arek Głogowski, Olek Klepacz, Częstochowski Teatr Tańca, zespół AmperA. Do tego całe grono wspólnych muzyków, z którymi współpracowałam przez te 20 lat. Program też będzie różnorodny. Złożony choćby z piosenek ze spektakli takich jak „Ballady morderców” i „Hemar w chmurach. Kabaret”.

Dlaczego koncert, a nie spektakl? Tak zazwyczaj aktorzy świętują jubileusz.

- Był taki pomysł, by pójść z nurtem, dostać kwiaty, kupon okolicznościowy. Mogłabym świętować, występując w „Procy”. To piękna rola, choć nie główna, ale to nie ma znaczenia. Jednak dyrektor Robert Dorosławski niechętny zaproponował koncert, a potem o tym zapomniał. Uczępiłam się tego pomysłu. Od razu wiedziałam, że jeśli koncert, to nie sama, tylko z przyjaciółmi i znajomymi.

Nie dziwili się, że to już 20-lecie?

- Dziwili się, ja zresztą też. Sama bym nie wiedziała o jubileuszu, gdyby nie kolega Waldemar Cudzik [aktor Teatru im. Mickiewicza]. Powiedział: „Iwona, ty tam sprawdź, ale chyba już masz 20 lat pracy na koncie”. Odpowiedziałam: „Co ty gadasz, to nie możliwe”. Możliwe - 16 lutego minęło 20 lat, bo dołączyłam do zespołu w środku sezonu. Bardzo mi się ta dwudziestka podoba, czuję się o 20 lat młodszą.

Jak jubileusz, to i podsumowanie. Czy czegoś w zawodowym życiu pani żałuje? Tego, że nie wsiadła do innego pociągu?

- Zastanawiałam się nad tym ostatnio, na zasadzie „co by było, gdyby”. Pewnie miałabym zupełnie inne życie, w innym miejscu, z innymi ludźmi. I też pewnie byłabym szczęśliwa. Jednak stanęłam na takiej linii życia, wsiadłam do tego właśnie pociągu i jest mi z tym dobrze.

Jubileuszowe marzenia? Nagrać rockową płytę? Zdobyć prywatny helikopter?

- Życzylabym sobie, żeby moi przyjaciele tak szybko nie przechodzili na inną stronę świata. Ale ten helikopter też by się przydał. Zwłaszcza dzisiaj. Wielu moich przyjaciół, także z teatru, bo grają „Hamleta” na wyjeździe, nie może dotrzeć na koncert. Gdybym miała helikopter, może daliby radę. Odnosnie do życzeń, ostatnio mój chłopak zapytał, z kim chciałabym zjeść kolację spośród żywych bądź zmarłych osób. Pytanie zainspirowane internetową akcją - dorośli wymyślali nie wiadomo kogo, dzieci chciały zjeść ją ze swoimi rodzicami. Trochę to naciągane, bo pewnie woleliby bajkowe stworzy. Ja nie musiałam się długo zastanawiać: wybrałam Mikołaja Kopernika, tego, który wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię. Chciałabym zapytać, jak to zrobił. ●

ROZMAWIŁA ZUZANNA SULIGA